

Scott Mariani

# Skarb heretyka

\*\*\*

darmowy fragment

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Tytuł oryginału: Heretic's Treasure  
Projekt okładki: Karolina Michałowska-Filipowicz  
Redaktor prowadzący: Małgorzata Burakiewicz  
Redakcja techniczna: Zbigniew Katafiasz  
Konwersja do formatu EPUB: Robert Fritzowski  
Korekta: Maria Talar

Originally published in the English language  
by HarperCollins Publishers Ltd.  
under the title The Heretic's Treasure  
© Scott Mariani, 2009. All rights reserved  
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2011  
© for the Polish translation by Wojciech Jędruszek

ISBN 978-83-7758-117-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
Warszawa 2011  
Wydanie I



Jesteś w moim sercu, nikt nie rozumie cię lepiej  
niż twój syn Echnaton.  
Ujawniłeś swoje zamiary i dałeś mi władzę.  
Mieszkańcy tego świata są w twoich rękach

Z Hymnu do Słońca faraona Echnatona

Nikt nie wiedział, ile wieków ma opuszczony beduiński fort pośród oceanu piasku.

Sęp, uczipiony szczytu zrujnowanej wieży, przyglądał się z przechylnym łbem wjeżdżającej na dziedziniec kolumnie pokrytych pyłem samochodów terenowych.

Drzwi pierwszego pojazdu otworzyły się, pod wojskowym butem wysiadającego mężczyzny zachrzącił piasek. Znużony długą jazdą na zachód przeciągnął się i osłonił oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Nieruchome powietrze pustyni miało temperaturę pieca.

Przybyszem był Khaled Kamal, jeden z najbardziej poszukiwanych terrorystów w Egipcie. Media nazywały go „nieuchwytnym człowiekiem bez twarzy”.

Z samochodów zaczęli wychodzić jego towarzysze, ubrani w mieszankę mundurów polowych, T-shirtów i dżinsów. Było ich jedenastu, wszyscy milcząco obserwowali swojego przywódcę. Sześciu z nich trzymało na ramionach pękate karabiny szturmowe AKS-74. Reszta broni, wciąż nosząca wyraźny zapach kordytu, została w samochodach.

Patrząc na zrujnowany fort, Kamal drapał się po trzydniowym zarostcie. Myślam wrócił do zdarzeń z ostatnich trzydziestu sześciu godzin.

Po ostrzeleniu jadącego na północ pociągu z turystami wybrał właściwy kierunek ucieczki. Śmigłowce z żołnierzami oddziałów specjalnych, które szybko pojawiły się na miejscu zamachu, poleciały w drugą stronę. Nikt nie szukał terrorystów na pustkowiu oddalonym o setki mil od linii kolejowej Kair–Asuan.

Na wspomnienie niedawnej akcji uśmiechnął się z satysfakcją. Pasażerowie pociągu nie mieli najmniejszych szans. Ogień karabinów maszynowych rozpruł sześć wagonów, tory i piasek zalała krew. Kolejny udany zamach.

W 1997 roku, gdy radykalne ugrupowanie muzułmańskie Gamaat Islamiya zmasakrowało sześćdziesięciu turystów przed świątynią Hatszepsut w Luksorze, był jedynym zamachowcem, któremu udało się wymknąć pościgowi. Od tamtej pory brał udział w niezliczonych napadach na autobusy, kurorty turystyczne, strzelał do statków pływających po Nilu, zabijał amerykańskich biznesmenów, a w 2005 roku osobiście naszpikował gwoździami bombę użytą przez motocyklistę w czasie samobójczego ataku na bazar Khan al-Khalili.

Wszystko to jednak nie zaspokajało jego chorej ambicji. Po dziesięciu latach strzelania do turystów Kamal zapragnął dokonać czegoś bardziej spektakularnego. Miał wiedzę i ludzi, był częścią siatki terrorystycznej w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Potrzebował tylko więcej pieniędzy, bowiem jego najnowsze pomysły, na razie pozostające w fazie planów, zapowiadały się na piekielnie kosztowne.

W tej chwili miał inne, bardziej prozaiczne zmartwienie. Jego ludzie jak najszybciej musieli znaleźć schronienie przed morderczym żarem pustynnego słońca. Wiedział, że za kilka godzin temperatura powietrza opadnie, ale teraz było gorąco jak na patelni. Zrujnowany fort, oprócz cienia, dawał nadzieję na coś jeszcze cenniejszego. Odkręcił bidon i w wyschnięte gardło wlał ostatnie krople wody. Puste naczynie wrzucił z powrotem do czarnego, terenowego nissana, wytarł usta rękawem.

Hani, najmłodszy w ich oddziale, gestykulował i śmiał się głośno, wskazując okrągłą, kamienną studnię na środku dziedzińca.

– Widzicie, a nie mówiłem?

Kamal rzucił mu szybkie spojrzenie. Utrzymywał się przy życiu, bo nikomu nie ufał. Teraz miał zamiar przekonać się, czy Hani mówi prawdę.

Wszyscy podeszli do cembrowiny studni i pochylili się nad głębokim otworem. W dole zobaczyli tylko ciemność. Kamal podniósł kamień i wrzucił go do środka. Nasłuchiwał plusku, ale bezskutecznie.

– Mówiłeś, że tu jest woda. – Dłonią odegnał napastliwą muchę piaskową.

Hani nie odpowiedział, skrzywił się tylko i wzruszył ramionami. Podeszedł do nich Youssef, wkładając sfatygowaną zieloną czapkę baseballową na świecą w słońcu spoconą łysinę.

– Chyba powinniśmy pojechać do oazy Farafra.

Kamal pokręcił głową. W oddalonej trzydziestu mil na południe Farafrze mieszkali Beduini, więc oaza powinna być dobrym schronieniem. Nigdy jednak nie było pewności, czy wśród nomadów nie zagnieździł się jakiś policyjny szpicel. Napad na pociąg na pewno stanowił gorący temat telewizyjnych i radiowych wiadomości, Kamal nie chciał ryzykować wpadki.

– Zejdiesz na dół – polecił Haniemu.

Chłopak się zawahał, chciał coś powiedzieć, ale szybko zmienił zdanie. Zdawał sobie sprawę, że dyskusja z Kamalem jest bezcelowa.

Otyły, brodaty Mostafa i najstarszy wiekiem, wychudzony Tarik przynieśli linę, której jeden koniec przywiązali do wzmocnionego metalową rurą zderzaka samochodu. Drugim końcem opasali Haniego. Chłopak miał strach w oczach, ale nie protestował. Wszedł na cembrowinę, jego trzech towarzyszy złapało za powróż i zaczęło go opuszczać na dno.

Studnia była głęboka, wreszcie stopy Haniego dotknęły ziemi. Gdy przykucnął w ciemnościach, pod palcami wyczuł tylko suchy piasek. Spojrzał w górę na odległy, niebieski krąg nieba i obserwujące go twarze.

– Wody nie ma! – zawołał. Jego głos odbił się od brzegów głośnym echem.

Po chwili coś spadło mu na głowę. Oszolomiony, zachwiał się na nogach. Dotknąwszy czoła, poczuł krew. Schylił się, koło nóg wymacał przedmiot, który go uderzył. Była to mała, składana saperka.

– To przez ciebie jesteśmy tutaj, ty debilu bez mózgu! – usłyszał krzyk Kamala. – Bierz się do kopania.

– Skurwysyn – mruknął Hani.

Epitet wcale nie miał dotrzeć do uszu adresata, jednak akustyka studni spowodowała, że Kamal go usłyszał. Reakcja była natychmiastowa. Pod milczącym spojrzeniem towarzyszy rzucił się do nissana i z tylnego siedzenia wyszarpnął masywny karabin maszynowy M60. Odbezpieczył go, podeszedł do studni i wycelował lufę w dół.

– Poświeć latarką na tego kretyna.

Youssef się skrzywił. – Kamal...

W oczach Kamala zamigotała furia. – Świeć, idioto.

Youssef westchnął. Znał go od dwudziestu lat i wiedział, że gdy przywódca był wściekły, jakakolwiek dyskusja z nim była niemożliwa. Prawdę mówiąc, szef był prawie zawsze wściekły. Zapalił latarkę i skierował światło w dół.

Zobaczyli twarz Haniego nieświadomego grozy sytuacji.

Nie zastanawiając się długo, Kamal oparł M60 o ramię i zaczął strzelać. Długa seria rozerwała ciszę pustyni na strzępy.

Na dole nie było miejsca na ucieczkę. Hani rzucał się na boki, desperacko próbował wdrapać się na glinianą ścianę studni. Nie spuszczając go z muszki, Kamal strzelał dalej. Pociski rozbijały w pył dno studni, wystrzelone łuski ścieleły się na piasku u nóg strzelca. Ręka Youssefa trzymającego latarkę nawet na moment nie zdrząła. Reszta

mężczyzn odeszła nieco dalej, zakrywając uszy rękami.

Wysoko nad głowami uciekinierów krążył samotny, płowy sęp.

Kamal przerwał ogień, opuścił lufę M60 i z wściekłością spojrzął na Youssefa.

– Nigdy więcej mi się nie sprzeciwiaj, przyjacielu.

– Przepraszam.

Kamal oparł karabin o brzeg studni.

– Tak czy owak, zawsze mnie denerwował. – Wyjął latarkę z dłoni Youssefa i z kamienną twarzą oświetlił posiekane kulami ciało, do połowy zasypane piaskiem i grudkami gliny.

– Powinniśmy jechać dalej – powiedział Youssef, odwracając oczy.

Kamal w milczeniu wpatrywał się w głąb studni. Strzelanina spowodowała, że gliniana ściana osunęła się gdzieś w połowie swojej wysokości.

To, co dostrzegł, było niezwykle – w jednym miejscu pokiereszowana glina cembrowiny odsłoniła nie zwykłą skałę, lecz ociosany, gładki kamień, pokryty dziwnymi, wyglądającymi na stare, obrazkami. Zmrużył oczy.

– Co to jest, do cholery?

– Co ty tam widzisz? – spytał Youssef.

Kamal nie odpowiedział. Schował latarkę do kieszeni i dotknął liny. Zwisiała luźno, bo przecięły ją pociski. Zauważył, że na samym końcu jest zaplamiona krwią Haniego. Wyciągnął ją i z kamienną twarzą owiązał się w pasie.

– Opuśćcie mnie w dół.

Zapał się nogami i plecami o ścianę studni. W lewej ręce trzymał zapaloną latarkę, w prawej nóż wojskowy, którym odłupywał glinę ze ściany. Na martwe ciało Haniego spadał deszcz okruchów.

Kamal miał świadomość, że natrafił na coś nadzwyczajnego. Krawędzie kamiennego bloku tkwiły głęboko w ścianie studni, znalezisko wyglądało na jakąś kryptę schowaną głęboko pod ziemią. Musiała być bardzo, bardzo stara.

Przyglądając się w świetle latarki zagadkowym znakom na skałę, zorientował się, że ma przed sobą hieroglify, pismo sprzed kilku tysięcy lat. Nie domyślał się ich znaczenia, lecz był pewien, że kamienna płyta kryje jakąś starożytną tajemnicę.

Krzyknął, by ktoś mu rzucił jego plecak, za chwilę miał go w rękach. Wyjął jeden ze znajdujących się w środku małych ładunków wybuchowych.

Gdy wyszedł ze studni, otoczyli go zaintrygowani kompani.

– Co ty wyprawiasz? – dziwił się głośno Youssef.

Kamal tylko pokazał pudełko zdalnego detonatora i machnął ręką, żeby poszli za nim. Schowali się za samochody.

Nacisnął guzik detonatora, z otworu studni wystrzelił pióropusz ognia i dymu. Zakryli twarze. Fruwające w powietrzu odłamki bębniły o karoserie samochodów, po pustynnym piasku rozpełzł się dym.

Jeszcze zanim pył całkowicie opadł, Kamal podszedł do rozbitej studni, złapał za linę i zjechał w dół. Światło latarki uwięzło w wirującym dymie i kurzu

Wybuch zniszczył dużą część szybu studni, grzebiąc ciało Haniego pod zwałami ziemi. Ale nie o tym myślał teraz Kamal.

Instynkt go nie zawiodł. Pod ziemią faktycznie było jakieś pomieszczenie. Gdy opadł pył, w płycie z hieroglifami zobaczył długie, nierówne pęknięcie. Serce zabiło mu mocniej. Użyty ładunek wybuchowy mógłby z łatwością wyrwać sporą dziurę w ścianie każdego współczesnego budynku, jednak starożytny kamienny blok o grubości pół metra był bardziej odporny. Trzonkiem latarki Kamal usunął obłuzowane kawałki skały i gdy przez szczelinę włożył rękę do środka, na palcach poczuł powiew chłodnego powietrza.

Cofnął się, w wybitą otwór włożył zapaloną latarkę i zajrzał do środka.

To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi.

Leśną ciszę zakłócało tylko lekkie bębnienie deszczu o dach domu. Na skraju polany trzasnęła złamana gałązka. Kicający królik zamarł, rozejrzał się w poszukiwaniu źródła hałasu i dał susa w bezpieczne miejsce.

Z zarośli wynurzyło się sześciu mężczyzn w zielonych mundurach polowych. Schyleni, obserwując otoczenie z bronią gotową do strzału, zbliżali się do budynku.

Wiedzieli, że w środku są dzieci i że akcja będzie trudna.

Dowódca grupy dotarł do pokrytych łuszczącą się farbą drzwi. Były zamknięte. Niczego innego się nie spodziewał. Cofnął się dwa kroki. Wyjął krótkiego remingtona, odbezpieczył i wypalił. Zamek rozpadł się na kawałki. Słuchawki na uszach mężczyzn stłumiły ogłuszający huk eksplozji. Rozbite drzwi z łoskotem wpadły do środka.

Przygotowany na wszystko dowódca wszedł pierwszy. Miał nadzieję, że ogień wziętych z zaskoczenia porywaczy nie będzie zbyt precyzyjny, wierzył też w skuteczność swojej kamizelki kuloodpornej. Przede wszystkim jednak liczył, że to on strzeli pierwszy i unieszkodliwi wroga.

W środku nie było nikogo. Przekroczywszy leżące w pustym korytarzu kawałki rozbitych drzwi, podzielili się na dwuosobowe grupy, wzajemnie się ubezpieczające na każdym zakręcie długiego holu. Poruszali się płynnie, w każdej chwili gotowi do strzału.

Nagle, po lewej stronie holu, z trzaskiem otworzyły się drzwi. Wyskoczył z nich mężczyzna z krótką, pękatą fuzją na biodrze, przeładowując ją ze szczękiem metalu.

Reakcja dowódcy była błyskawiczna. W jednej chwili obrócił się, podniósł głocka 9 mm i zdając się tylko na instynkt, dwukrotnie strzelił. Trafiony porywacz złapał się za pierś i wypuszczając fuzję z rąk, upadł.

Doszli do drzwi na końcu korytarza, dowódca otworzył je kopniakiem i wpadł do środka, czując pulsującą w żyłach adrenalinę. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, był stojący w kącie stary fotel ze zniszczoną tapicerką. Dopiero po chwili w drugim kącie ciemnego pokoju dostrzegł materac, a na nim dwójkę opartych o siebie plecami, związanych dzieci. Chłopiec i dziewczynka. Na głowach mieli szorstkie, zrobione z jutowych worków kaptury. Spod nakrycia głowy dziewczynki wystawały długie, jasne włosy, ubrania dzieci były podarte i brudne.

Szóstka mężczyzn błyskawicznie omiotła bronią pokój. Po porywaczach nie było śladu, w budynku panowała absolutna cisza. Tylko w nagich gałęziach drzew na podwórku szumił wiatr, w oddali krakały wrony.

Wkładając pistolet do kabury, dowódca grupy podszedł do dzieci. Dzieliły go od nich tylko trzy kroki, gdy zauważył, że do ciała dziewczynki jest przywiązany niewielki ładunek zapalający. Było już jednak za późno.

Widząc oślepiający błysk, wszyscy instynktownie zakryli twarze.

Małe siedzące postacie stały w ogniu. Płonęły ich ubrania, włosy, w czerniejących twarzach widać było białe, przerażone oczy.

Dym i gryzący smród stopionego plastiku wypełnił pokój, wreszcie płonące manekiny opadły na materac.

Otworzyły się drzwi, do pokoju wszedł jasnowłosy mężczyzna. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, ubrany był w czarne wojskowe spodnie i koszulkę z napisem INSTRUKTOR.

Ben Hope uczył sztuki uwalniania zakładników, a zachowanie uczestników szkolenia od momentu ich wejścia do budynku było śledzone na monitorze.

Członkowie zespołu opuścili broń, automatycznie ją zabezpieczając, chociaż nie mieli ostrej amunicji. Jeden z kursantów z trudem powstrzymywał kaszel.

W drzwiach zadymionego pokoju pojawił się z gaśnicą zastrzelony przed chwilą porywacz. Jeff Decker, zanim podjął pracę asystenta w ośrodku szkoleniowym Bena Hope'a, był żołnierzem służb specjalnych. Teraz podszedł do dwóch stopionych kukieł na płonącym materacu, wycelował gaśnicę i stłumił ogień syczącym strumieniem białej piany. Spojrzał na Bena i uśmiechnął się.

– Dzięki, Jeff – powiedział Ben. Sięgnął do kieszeni wojskowych spodni, wyciągnął zmiętą paczkę gauloisów i starą zapalniczkę zippo. Otworzył ją kciukiem i potarł kółko. Zapalił papierosa i wciągając dym głęboko w płuca, zatrzasnął zapalniczkę. Obrócił się do ćwiczącego zespołu.

– Teraz wam pokażę, gdzie zrobiliście błąd.



Po dwóch godzinach ćwiczeń zmęczeni kursanci wrócili leśną ścieżką do ośrodka. Przeszło padać, pokazało się słońce.

Ben spojrzął na zegarek.

– Powiniem już jechać. Za chwilę ląduje samolot Brooke, a do lotniska jest dwadzieścia minut jazdy. – Sięgnął po kluczyki land rovera.

– Ja mogę po nią pojechać – zaproponował Jeff.

– Dzięki. W drodze powrotnej muszę jeszcze kupić parę skrzynek wina, bo zapasy się kończą.

Jeff się uśmiechnął.

– No tak, to poważna sprawa.

Podczas gdy uczestnicy szkolenia brali prysznic i przebierali się, Ben opuścił niski, murowany budynek biurowy i wybrukowanym podwórkiem ruszył w kierunku starego, zgniłego land rovera. Swojemu ulubionemu psu, Stormowi, otworzył drzwi do bagażnika. Wielki wilczur wskoczył do środka, ślizgając się po metalowej podłodze. Ben usiadł za kierownicą, włączył silnik i powoli wyjechał z podwórka na krętą, wiejską drogę.

Mysłał o tym, jak gruntownie ostatnie miesiące zmieniły jego życie.

Młodość wydawała się już bardzo odległa. Jak przez mgłę pamiętał moment decyzji o porzuceniu studiów teologicznych i zaciągnięciu się do wojska. Miał wtedy dwadzieścia lat.

To były szalone czasy. Kilka lat bezkompromisowego, konsekwentnego dążenia do fizycznej i psychicznej perfekcji stało się przepustką do elitarnego 22. pułku SAS, z którym brał udział w krwawych konfliktach na całym świecie. W ciągu ośmiu lat, własną krwią oplacając kolejne awanse, wywalczył stopień majora. Gdy obrzydły mu nieetyczne, rozpętywane w niejasnych pobudek wojny, opuścił szeregi wojska i postanowił wykorzystać nabyte umiejętności w lepszej sprawie.

Został konsultantem do spraw kryzysowych. Wspecjalizował się w zwalczaniu procederu, którego skala przybierała coraz bardziej niepokojące rozmiary. Ameryka Południowa, Europa Wschodnia, Afryka czy Azja – wszędzie tam, gdzie były duże pieniądze, rozwijał się proceder porwań i okupów.

Odrażająca filozofia przestępców polegała na wykorzystywaniu ludzkich cierpień dla celów finansowych i traktowaniu życia jako zwykłego towaru, stanowiącego przedmiot handlu. Za to Ben ich najbardziej zniechęcał.

W współczesnym świecie każdy był zagrożony, drapieży w ludzkich skórach mieli nieograniczony wybór ofiar. O tym, że ktoś z ich bliskich został uprowadzony, mogły się nagle dowiedzieć nie tylko bogate albo wysoko postawione osoby. Dokonywanie porwań stało się tak lukratywnym zajęciem, że w wielu krajach zyski z tej działalności już przewyższyły dochody z handlu narkotykami. A jednak nawet bardzo zamożne rodziny potrafiły lekceważyć konieczność ochrony swoich dzieci przed porywaczami, a odszkodowania wypłacane przez ubezpieczycieli tylko pogłębiły problem. Wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jednak nikt nie potrafił go skutecznie zwalczać.

Umiejętności Bena okazały się wyjątkowo przydatne. Coraz częściej znikali ludzie, wypłacane okupy nie przynosiły pożądanego skutku, policja nie radziła sobie ze złożonością problemu. W takich sytuacjach Ben był ostatnią deską ratunku. Ratował życie ofiar, łączył rodziny, pomagał.

Z tą niełatwą pracą zawsze związany był lęk, świadomość tego, co czeka ofiarę w razie niepowodzenia misji. Ben poniósł klęskę tylko raz, ale jej wspomnienie do dziś nie dawało mu spokoju.

W tej pracy musiał też zabijać. Za każdym razem napawało to go odrazą, za każdym razem przysięgał sobie, że nie zrobi tego nigdy więcej. Jednak, jak zwykle, życie pisało własne scenariusze. Najbardziej przerażał go fakt, że zabijanie przychodziło mu z taką łatwością.

Często myślał o rezygnacji z tej pracy. Wiele razy siedział na plaży przed swoim domem na zachodnim wybrzeżu Irlandii i modlił się o zwyczajne życie.

Czy jednak mógł z czystym sumieniem wycofać się, wiedząc, że jego umiejętności są tak bardzo potrzebne innym ludziom? Swoją talent uważał za błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. Dopiero po dłuższym czasie pogodził się z myślą, że życie wymaga poświęceń. Próbował zajmować się czymś innym, ale za każdym razem, gdy zwracano się do niego o pomoc, nie znajdował w sobie dość siły, by odmówić. Znowu na dalszy plan schodziła stabilizacja, szczęście, szansa na normalne życie.

On nie potrafił uratować życia osobie, na której mu najbardziej zależało – swojej żonie. Leigh zginęła z ręki człowieka, którego on sam powinien był wcześniej zabić. Oszczędnając życie Jacka Glassa, stał się współwinnym śmierci Leigh.

Przez długi czas po tej tragedii Ben nie mógł wyjść z depresji, nieraz myślał nawet o samobójstwie.

Aż pewnej nocy na pustej irlandzkiej plaży przyszedł mu do głowy pomysł, który całkowicie zmienił jego życie. Nie była to zwykła, oderwana myśl, lecz raczej wspaniała wizja, nadająca przyszłości nowy sens. Tej nocy w ogóle nie zmrudył oka, rano były już gotowe konkretne plany.

Postanowił utworzyć specjalistyczny ośrodek szkoleniowy, w którym zamierzał przekazywać studentom swoje doświadczenie zawodowe i nabyte umiejętności. Wiedział, że wraz z rozwojem sprawności porywaczy siłą rzeczy będzie wzrastał popyt na coraz bardziej specjalistyczne szkolenia formacji, które ich zwalczały.

Odnawiał kontakty z wojska, przede wszystkim z zaufanymi kolegami z jednostek specjalnych. Rozmawiał z ludźmi, których nie widział od lat. Wiedział, że ani na terenie Irlandii, ani Wielkiej Brytanii organizacja szkoleń strzeleckich nie jest możliwa, zaczął więc na kontynencie rozglądać się za stosownym miejscem.

Po kilku tygodniach poszukiwań trafił w dziesiątkę. Zaniedbana wiejska posiadłość nazywała się Le Val i znajdowała się w północnej Francji. Choć leżała na głębokiej, normandzkiej prowincji, miała dobre połączenie z lotniskiem w Cherbourgu i miasteczkiem Valognes. Co najważniejsze, Ben mógł z niej zrobić ośrodek, o którym marzył. Do sześćdziesięciu akrów szerokiej doliny i rozległych lasów wiodła długa, kręta droga. Sąsiedzi byli rolnikami, w pobliskiej wiosce mieściły się sklep i bar. Ideal.

Pożegnał się ze swoim starym domem nad zatoką Galway, w którym spędził tyle lat, i wsiadł do samolotu.

Wiedział, że zaczyna nowy etap życia.

W ciągu kilku miesięcy normandzka posiadłość zmieniała się nie do poznania. W odnowionym domu farmera powstał obszerny salon dla uczestników szkoleń, w ogromnej kuchni z kamienną podłogą wszyscy spotykali się co wieczór na kolacji. Potrzeby Bena nigdy nie były wygórowane – jego prywatne mieszkanie na piętrze składało się tylko z dwóch skromnych pokoi.

W krótkim czasie na terenie starej farmy wyrosły nowe budynki: biuro, kantyna, blok sanitarny, sala do ćwiczeń. Kwatery dla kursantów były po drugiej stronie podwórza. Sześć niewielkich pomieszczeń, w każdym dwa łóżka i dwie metalowe szafki w kolorze oliwkowym. Atmosfera była wojskowa, warunki spartańskie, lecz jak dotąd nikt nie narzekał. Wszyscy mieli świadomość, że biorą udział w najlepszym szkoleniu na rynku. Jedynym ustępstwem na rzecz mniej zahartowanych, korporacyjnych pracowników firm ubezpieczeniowych była wybudowana w pewnej odległości od dziedzińca dobrze wyposażona sala wykładowa.

Najważniejszym zadaniem ośrodka była nauka praktycznych metod walki z porwaniami. W tej dziedzinie Ben był niedościgniony i co najważniejsze, swoją wiedzę potrafił przekazać innym. Współpracę z Le Val nawiązało już kilka europejskich jednostek policyjnych i wojskowych.

Powstały dwie strzelnice pod gołym niebem – jedna dla pistoletów i karabinków, druga do szkolenia umiejętności snajperskich. Schowany w lesie stary drewniany budynek uzyskał teraz całkiem nowe przeznaczenie. Podzielony w środku płytami paździerzowymi, tworzył labirynt, w którym kursanci ćwiczyli walkę i zdobywanie pomieszczeń bronionych przez przeciwnika. Tygodniowe zużycie amunicji wciąż rosło.

Utworzenie ośrodka nie było łatwe. Największym problemem okazała się nie tyle budowa nowych pomieszczeń, ile uzyskanie zgody na trening ostrą amunicją, stanowiącą prawdziwą drogę przez mękę. Oprócz oficjalnego zezwolenia brytyjskich i francuskich organów państwowych potrzebna była akceptacja pomysłu przez NATO. Przez trzy

miesiące Ben tonął w papierach, wisiał na telefonie, brodził w błocie i chaosie służby w SAS posiadał znajomość języka francuskiego, mógł teraz swobodnie prowadzić wyczerpujące, ale zazwyczaj skuteczne dyskusje z miejscowymi notablami.

Natychmiast po uzyskaniu pozwolenia na działalność pojawiły się pierwsze zapytania od potencjalnych klientów. Interes szybko nabrał rozpędu i na najbliższe cztery miesiące kalendarz zamówień był wypełniony. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę.

W drodze na lotnisko wyprzedził wolno jadący traktor. Za kierownicą ciągnika rozpoznał Duchampa. Pomachał mu ręką, stary farmer odwzajemnił pozdrowienie. Byli dobrymi sąsiadami, spędzali razem sporo czasu przy butelce domowego cydru, a towarzyskie wizyty Bena często kończyły się załadunkiem całych skrzynek trunku do bagażnika land rovera. Brat Duchampa, rzeźnik, zaopatrywał Le Val w mięso, a jedna z kuzynek farmera, Marie-Claire, pracowała w ośrodku jako dochodząca kucharka.

Tego lata Ben planował zorganizowanie wielkiego przyjęcia dla swoich sąsiadów, którego główną atrakcją kulinarną miały być prosięta z rusztu. Lubił miejscowych ludzi, podobała mu się ich nieskomplikowana filozofia życia oraz harmonia, w jakiej żyli z przyrodą. Ważne, że nie zadawał zbyt wielu pytań. Nie przeszkadzała im tajemniczość ośrodka, częste odgłosy kanonady, kolczasty drut ogrodzenia ani tablice z napisem WSTĘP WZBRONIONY na wysokich skrzydłach głównej bramy wjazdowej. Uważali Le Val za modne centrum turystyki ekstremalnej dla pracowników wielkich korporacji, co było Benowi bardzo na rękę.

Dojechał do portu lotniczego w Cherbourgu i stanął na parkingu. Zostawił Storma w samochodzie i ruszył w stronę hali przylotów.

Kobieta, po którą przyjechał, nazywała się Brooke Marcel. Miała stopień doktora psychologii klinicznej, była ekspertem w dziedzinie psychologii zakładników i od dziewięciu lat współpracowała z londyńskim wydziałem policyjnym do spraw operacji specjalnych. Po raz pierwszy Ben spotkał ją jeszcze w czasach swojej służby w SAS, usłyszał wtedy jeden z jej wykładów. Dobrze zapamiętał wrażenie, jakie na nim zrobiła jej nienaganna logika argumentacji i umiejętność analizy. Była jedną z pierwszych osób, z którymi się skontaktował podczas tworzenia swojego ośrodka. Teraz Brooke co kilka tygodni przylatywała do Francji i prowadziła wykłady dla kursantów. Miała rodzinę we Francji, więc ta sytuacja okazała się dla niej wyjątkowo dogodna. Ben bardzo cenił Brooke i zawsze z przyjemnością czekał na jej przyjazd.

Pchnął szklane drzwi i wszedł do hali przylotów. Samolot z Londynu już wylądował, grupka pasażerów szła w stronę parkingów i postoju taksówek.

Brooke, zobaczywszy Bena, zamachała do niego ręką. Miała na sobie czarne, obcisłe dżinsy i zieloną, wojskową kurtkę, w rękę trzymała sportową torbę. Gdy szła, jej kręcone, rude włosy kusząco falowały. Wielu mężczyzn ogłądało się za nią z uznaniem. Ben podszedł bliżej, dziewczyna z uśmiechem pocałowała go w policzek.

– Co za niespodzianka! Nie oczekiwałam cię tutaj, zwykle przyjeżdża po mnie Jeff.

– Jeff za bardzo cię polubił, nie chcę, żeby ta sytuacja wpłynęła na jakość jego pracy.

– O to się nie martw, Jeff jest fajny, ale nie w moim typie. – Zachichotała.

– A więc nie lubisz wysokich, przystojnych brunetów?

Brooke uśmiechnęła się przekornie. – Wolę wysokich, przystojnych blondynów.

Udał, że nie rozumie. – Daj mi swój bagaż. – Wziął torbę, wyszli z hali przylotów i ruszyli w stronę parkingów.

– Co w interesach? – zapytała podczas jazdy.

– Nie narzekam. Jak w Londynie?

– To, co zawsze. – Teatralnie wywróciła oczami. – Męczące miejsce. Mam już tego potąd, potrzebuję zmiany.

– Wiem, co czujesz.

– Tak à propos, właśnie wzięłam parodniowy urlop, musiałam się oderwać od tego wszystkiego. Czy mogę się u ciebie zatrzymać trochę dłużej?

– Nie widzę problemu. Zostań, jak długo zechcesz.

Po drodze Ben zatrzymał się w lokalnej winnicy, skąd odebrał parę skrzynek wcześniej zamówionego wina. Razem załadowali je do land rovera i ruszyli dalej w drogę.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła Brooke, gdy wjechali na teren posiadłości. – Już skończyłeś ten budynek?

Ben spojrzał w kierunku wskazanym przez Brooke.

– Nowa siłownia? Jest pod dachem już od dwóch dni.

– Przy każdej wizycie znajduję coś nowego. Nie mów mi, że sam to robisz.

– Na pewno nie wszystko, tylko ściany i podłogi. Belek stropowych nie podnoszę.

– Chyba zwariowałaś. Pamiętaj, co za dużo, to niezdrowo.

– Czy w związku z tym stałem się mniej atrakcyjny?

– W końcu padniesz z przemęczenia. Nie możesz wszystkiego robić sam. Wyluzuj. Pobaw się. Przecież nie masz jeszcze czterdziestu lat!

Śmiejąc się, zatrzymał samochód przed domem i wyłączył silnik.

– Może to i racja.

– Mam pomysł! Czy nie mówiłeś mi kiedyś, że jesteś właścicielem apartamentu w Paryżu?

Ben swoje małe, spartańsko urządzone mieszkanie dostał wiele lat temu od klienta, którego dziecko uratował z rąk porywaczy.

– Moje mieszkanie nie zasługuje na miano apartamentu, zresztą chyba wkrótce je sprzedam. Dlaczego pytasz?

– Hmm, jutro kończy się kurs, może po wykładzie wskoczymy w twojego nowego mini morrisa, chyba całkiem zapomnianego przez ciebie, i pojedziemy do Paryża? To przecież blisko. Parę dni w mieście dobrze ci zrobi.

– No nie wiem... – zawahał się.

– Przestań. Jeff świetnie da sobie radę bez ciebie, wiesz o tym. Będzie fajnie.

Przyjrzał się jej uważniej. – Ty, ja i Paryż?

W kąciku ust Brooke pojawił się uśmiešek. – Dlaczego nie?

– W mieszkaniu jest tylko jedna sypialnia.

Nie odpowiedziała. Ben wysiadł z land rovera, otworzył bagażnik i wyjął jej torbę. Z samochodu wyskoczył Storm i machając ogonem, pobiegł w stronę budynków gospodarczych.

Brooke ruszyła do łazienki. Ben wniósł jej torbę do domu, później poszedł do biura, by porozmawiać o nowych kursantach.

Okazało się, że wieczorem wszyscy mieli zamiar wybrać się z furgonetką na steak-frites i piwo w lokalnym barze.

– Może byś się do nas przyłączył? – rzucił Jeff, szukając czegoś w szufladach.

Ben potrząsnął głową. – Kiedy indziej. Czego szukasz?

– Tego cholernego telefonu do faceta od ogrodzenia.

– 4642891 – bez wahania powiedział Ben.

– Jak ty to robisz?

– Co robisz?

– No, zapamiętujesz numery.

Ben wzruszył ramionami. – Nie wiem. Tak po prostu. Zawsze to umiałem.

– Niesamowite – sapnął Jeff, podnosząc słuchawkę.

Zapadał już mrok, gdy Ben i Brooke usiedli do kolacji w wiejskiej kuchni. Jedli gulasz z wołowiny, z oliwkami i ryżem, popijając przywiezionym czerwonym winem.

– Tempo, w jakim zorganizowałeś ośrodek, jest naprawdę imponujące – powiedziała. – W krótkim czasie wykonałeś naprawdę ogromną robotę.

– Jeżeli dalej tak to pójdzie, będziesz tu częściej potrzebna. Czy następnym razem możesz przyjechać już za dwa tygodnie?

– Z chęcią. W Le Val czuję się jak u siebie w domu.

– Ja też polubiłem to miejsce.

Skinęła głową, oparła podbródek na splecionych dłoniach i przyjrzała mu się poważnie.

– Wiesz co, panie Hope? Znamy się od wielu lat, ale jeszcze nie widziałam cię w takim nastroju. Po raz pierwszy wyglądasz na szczęśliwego człowieka.

Uśmiechnął się. – Chyba faktycznie jestem tu szczęśliwy.

Brooke właśnie miała zamiar coś dodać, gdy zadzwonił telefon stojący na kuchennym kredensie. Zirytowany Ben pokręcił głową.

– Nie odbieraj. Jeżeli to ważne, zadzwonią jeszcze raz.

– Muszę. – Wstał i podniósł słuchawkę. – Halo? – Spojrzyła na Brooke: to potrwa długo.

Gdy zorientował się, kto mówi, przeżył wstrząs. Przeszłość wróciła.

Tego głosu nie słyszał od dawna. Miał nadzieję, że już go nigdy nie usłyszy, ale widocznie los chciał inaczej. Wziął z sobą telefon, przeszedł do gabinetu obok i zamknął za sobą drzwi.

Gdy po pięciu minutach wrócił, miał zatroskany wyraz twarzy.

– Czy coś się stało? – spytała Brooke.

Nie odpowiedział. Podeszedł do kredensu, wyjął butelkę whisky, otworzył ją i nalał sobie do szklanki dużą porcję. Przypomniał sobie o istnieniu Brooke, sięgnął po drugą szklankę.

– Przepraszam – mruknął zaaferowany. – Napijesz się?

– Jasne. Co się dzieje?

Przez moment chciał jej powiedzieć o wszystkim, jednak po chwili zmienił zdanie i tylko potrząsnął głową.

– Nic takiego.

– Przecież widzę, że to żadne „nic takiego”. Złe wieści?

– Jak już powiedziałem, nic ważnego.

Podał jej whisky, wychylił swojego drinka jednym haustem i usiadł zamyślony przy stole. Zapadła cisza. Ponownie napełnił sobie szklankę. Brooke nawet nie zdążyła umoczyć ust w swojej whisky.

– Hej, co się stało z naszą rozmową? – roześmiała się.

– Przepraszam cię – mruknął i spojrzył na zegarek. – Słuchaj, robi się późno. Jestem trochę zmęczony, położę się już.

– Zajmę się naczyniami.

– Zostaw je. Zrobię to jutro rano. – Wstał, odsunięte krzesło zazgrzytało na kamiennej posadzce.

– Więc do jutra. Śpij dobrze.

Powoli wyszedł z kuchni. Gdy wspinał się po schodach do swojego mieszkania, myślami był już daleko.

Serce waliło mu jak młotem, w żołądku czuł skurcze.

Kalejdoskopowa mieszanek nieostrych obrazów i powracającego echa. Chaos, ból, krzyki i odgłosy kanonady w zwolnionym tempie stapiały się w jedną całość. Stroboskopowe ogniki wystrzałów rozświetlały dżunglę, między drzewami migały cienie. Gorąco, krew, rosnący strach. Wrogów było coraz więcej. Ich zawsze było więcej.

Jeden z nich się zbliżał. Ciemna sylwetka na tle szalejących płomieni, w dzikich z nienawiści oczach chęć mordy, w rękach karabin. Czarny, okrągły otwór lufy wyglądał jak tunel do nicości.

Ogłuszający, wracający rykoszetem huk wystrzału. I eksplozja białego światła.

Wyrwany ze snu Ben usiadł na łóżku. Twarz miał pokrytą kroplami zimnego potu. Nie wiedział, gdzie się znajduje, czuł tylko, że puls mu znów przyspiesza. Dopiero po chwili dotarło do niego, że jest w domu. W bezpiecznym miejscu, do którego żaden horror nie ma wstępu.

Spokojnie, to tylko koszmar z dalekiej przeszłości.

Wyciągnął rękę w kierunku stojącej przy łóżku lampki tak niefortunnie, że stracił ją na podłogę.

W sąsiednim pokoju Brooke przeglądała w łóżku notatki przed jutrzejszym wykładem. Przez otwarte okno słyszała szum drzew, po zgiełku Londynu leniwy spokój wsi był dla niej ogromną atrakcją.

Nagły hałas w sąsiednim pokoju ją wystraszył. Wskoczyła z łóżka, rozsypując notatki, włożyła szlafrok i wyszła na ciemny korytarz. Przez drzwi usłyszała ciche przekleństwa. Zapukała i po chwili weszła do środka.

Nagi do pasa Ben siedział na łóżku i ustawiał przewróconą lampę. Spojrzał na Brooke.

– Przepraszam, jeżeli cię obudziłem. Niechcący zrzuciłem lampę.

– Jeszcze nie spałam. Czy mogę wejść? – Usiadła na brzegu. – Dobrze się czujesz? Jesteś taki blady. Co się stało?

– Miałem zły sen. – Zakrył twarz.

– Chciałbyś o tym porozmawiać?

– Mówisz jak psycholog.

– Bo jestem psychologiem, zapomniałeś? – Ujęła jego rękę. – Opowiedz mi ten sen.

Wzruszył ramionami. – Nie chcę o tym mówić.

– Jesteś tego pewny? – spytała cicho.

– Tak, jestem. Czasami śni mi się jakiś głupi, stary koszmar, to wszystko.

– Nie powinienes lekceważyć snów. – Przez chwilę milczała. – Jestem pewna, że to wszystko ma związek z ostatnim telefonem. Mam rację?

Nie odpowiedział.

Uśmiechnęła się smutno.

– No właśnie. W jednej chwili całkowicie się zmieniłeś. Byłeś taki szczęśliwy, a od tego telefonu zacząłeś się dziwnie zachowywać, stałeś się małomówny, sięgnąłeś po butelkę.

– Wiesz co, butelka to świetny pomysł. Napijesz się ze mną?

– Jasne, zejdę na dół i przyniosę whisky.

– Nie ma takiej potrzeby. – Zeskoczył z łóżka i ruszył w stronę szafy. Miał na sobie tylko czarne bokserki. Obserwowała go bez słowa. Otworzył drzwi, sięgnął na górną półkę, skąd wyjął butelkę whisky i szklankę.

– Jest tylko jedna szklanka – powiedział.

– No to będzie wspólna. Napij się pierwszy, wydaje się, że potrzebujesz tego bardziej ode mnie.

Siedząc na brzegu łóżka, napełnił szklankę do połowy, pociągnął spory łyk i oddał resztę Brooke.

– Na zdrowie. – Wypiła trochę, zwróciła drinka Benowi. – Nieźle. Podobają mi się mężczyźni, którzy w szafach trzymają dobrą whisky single malt.

Wychylił szklankę do dna.

– Już lepiej? – spytała.

Zaśmiał się. – Nie zapominaj, że jestem już dużym chłopcem.

Lekko dotknęła jego ramienia. – Widzę, że coś jest nie tak.

– Dam sobie radę.

Skinęła głową, powoli wstała i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się z ręką na klamce.

– Na pewno?

– Tak, Brooke.

– Więc do zobaczenia rano.

Ben pokręcił głową.

– Gdy wstaniesz, będę już daleko. Muszę gdzieś pojechać.

– Wydawało mi się, że miałeś zamiar być jutro na miejscu. – Zmarszczyła brwi.

– Plany się zmieniły. Jeff się tobą opiekuje.

– Wszystko przez ten telefon, prawda?

Skinął głową, ale nie podjął tematu.

– Dokąd w takim pośpiechu wyjeżdżasz?

– Do Włoch.

Spojrzała zdziwiona.

– Co takiego jest we Włoszech?

– Nie co, tylko kto. Pułkownik Harry Paxton.

– Pułkownik Harry Paxton – powtórzyła. – Czy to on do ciebie wczoraj zadzwonił?

Potwierdził kiwnięciem głowy.

– I co dalej? Czy wszystko muszę zgadywać sama?

– Pułkownik ma kłopoty. Potrzebuje mnie, a ja nie mogę mu odmówić pomocy.

– Jakiego rodzaju kłopoty?

– Paxton nie wdawał się w szczegóły.

– I oczekuje, że od razu wszystko rzucisz i wyjedziesz do Włoch? Nie mógł ci powiedzieć przez telefon, o co mu chodzi? Kim właściwie jest ten facet?

Ben wypił łyk whisky i przez chwilę milczał.

Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

– To ktoś, kto uratował mi życie.

Tuż przed dziewiątą rano samolot wylądował w nicejskim porcie lotniczym Cote d'Azur. Ben wrzucił swoją starą, brezentową wojskową torbę do pierwszej z brzegu taksówki i niecałą godzinę później wysiadł w centrum San Remo, nadmorskiego kurortu po włoskiej stronie granicy.

Bez trudu znalazł hotel w starej części miasta przy ruchliwym placu La Pigna. Zapłacił tylko za jedną noc, bo miał nadzieję, że następnego dnia będzie mógł wrócić do domu.

Marmurowe posadzki przyjemnie chłodnego hotelu odbijały echem każdy krok. W innych okolicznościach poświęciłby więcej czasu na podziwianie prostego piękna starego budynku i malowniczego widoku nad dachami miasta. Teraz tylko przelotnie zauważył liczne wieże kościelne, mglisty zarys Alp z jednej strony i migotliwe wody Morza Śródziemnego z drugiej.

Myślamy był gdzie indziej. Rzucił torbę na łóżko w pokoju hotelowym, zszedł na dół. Po wyjściu z lobby znalazł się na placu La Pigna. Słońce na błękitnym bezchmurnym niebie grzało tak mocno, że zdjął lekką, bawełnianą kurtkę i przerzucił ją przez ramię.

Podane przez Paxtona miejsce spotkania znajdowało się w Porto Vecchio, jednym z dwóch portów San Remo. Instrukcje były precyzyjne. W samo południe motorówka miała go odebrać z najbardziej wysuniętego na zachód pomostu i zawieźć na jacht zakotwiczony na otwartym morzu.

To go nie zdziwiło, wciąż bowiem pamiętał pasję swojego przelozonego do żeglarstwa oraz jego opowieści o urloпах w słonecznych portach całego świata. Czy Paxton już wtedy miał jacht? Tego nie pamiętał. Nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, czym jego były szef zajmował się przez ostatnie dziesięć lat.

Niespodziewaną decyzję o odejściu z wojska Paxton podjął w szczytowym punkcie swojej błyskotliwej kariery, tuż po otrzymaniu najwyższego odznaczenia za odwagę. Ben miał wyrzuty sumienia, że nie utrzymywał z szefem żadnego kontaktu.

Parę lat temu żona pułkownika, Helen, nagle umarła na serce. Ben pracował wtedy nad wyjątkowo skomplikowaną sprawą w Ameryce Południowej, dlatego wiadomość o tragedii dotarła do niego z kilkumiesięcznym opóźnieniem. Nie zadzwonił do Paxtona z kondolencjami, bo wydawało mu się, że już jest za późno. Teraz tego żałował.

Nigdy nie zapomniał, co pułkownik dla niego zrobił. W swoim życiu widział już wiele sytuacji, nie miał też większych złudzeń co do ludzkich zachowań. Z pewnością nie nadużywał słowa „bohater”. A jednak miał świadomość, że na to właśnie określenie Paxton bezdyskusyjnie zasłużył.

Za chwilę miał go znowu zobaczyć. Zastanawiał się, czy Harry bardzo się zmienił i czym się ostatnio zajmował. Najbardziej jednak chciał się dowiedzieć, dlaczego tak nalegał na jego przyjazd.

Zegarek wskazywał parę minut po jedenastej. Korzystając z kupionego na lotnisku planu miasta, ruszył na zachód, w kierunku morza.

Rozpadające się kamienne arkady i gęsta zabudowa starej zabytkowej dzielnicy sprawiały, że San Remo nie różniło się zbyt od innych włoskich kurortów, przygotowujących się do gorączki kolejnego sezonu. Ben przedzierał się przez miejski labirynt, zatrzymując się co chwila i sprawdzając na mapie nazwy mijanych ulic. Czuł złość na Paxtona, że ten podczas rozmowy telefonicznej był tak oszczędny w słowach. Brooke miała rację, niechęć pułkownika do ujawnienia szczegółów wyglądała dziwnie. Dziwnie i niepokojąco. Paxton był przygnębiony i zdenerwowany, a przecież Harry zawsze umiał zachować zimną krew. Czyżby ostatnie lata tak bardzo go zmieniły?

Miał nadzieję, że pułkownik nie wzywa go z błahego powodu.

Powietrze coraz intensywniej pachniało solą. Zbliżał się do morza. Wychodząc z kolejnej krętej uliczki, zobaczył port, długą zatokę plaży i spokojny, szklisty błękit Morza Śródziemnego.

Fale cicho pieściły piasek, błyszczące, jasne kadłuby cumujących łodzi i jachtów łagodnie unosiły się w wodzie, setki kołyszących się masztów celowały w niebo. W przystani było co najmniej dziesięć długich, białych pomostów. Do najbardziej wysuniętego na zachód, z którego wkrótce miała go odebrać motorówka Paxtona, przez kamienistą plażę prowadziła ścieżka.

Gdy zszedł po nierównych schodkach, pod nogami poczuł chrzęszczące kamyki. Brzeg morza był pusty. Wiedział, że nadejście sezonu wszystko zmieni. Teraz panowała cisza. Na twarzy czuł ciepłe słońce późnego poranka, we włosach lekkie podmuchy nadmorskiej bryzy. Po surowej Normandii był to całkowicie inny świat.

Zerknął na zegarek, potem znów rozejrzał się po przystani. W oddali kręciło się parę osób, jednak na zachodnim moło obiecanej motorówki nadal nie było. Dotarł do kamiennego falochronu i po schodkach zszedł na sam brzeg.

Stanął i wpatrzył się w bezkres morza. Z nostalgią pomyślał o leżącym tuż nad Oceanem Atlantyckim rodzinnym domu i o życiu, które za sobą zostawił. O samotnym siadywaniu na kamienistym brzegu, rozmyślaniach, obserwowaniu mew i rozbijających się fal. Wiedział, że zawsze będzie za tym tęsknić.

Tak jak tęsknił za innymi sprawami.

Podszedł do szemrzących fal i ukucnął. Podniósł płaski kamyczek, zamachnął się i rzucił go do wody. Obserwował jak w białej mgielce piany odbija się od tafli morza, szybuje dalej, znów się odbija, szybuje, w końcu znika.

Czego chciał Paxton? Co się stało?

Gdy wyciągnął rękę po kolejny kamyczek, kątem oka zauważył małą motorówkę, zmierzającą w kierunku moła. Czyżby wkrótce miał poznać odpowiedzi na swoje pytania?

Odłożył kamień, truchtem wbiegł na kamienne schodki i ruszył w kierunku zachodniego moła.

W tym momencie usłyszał krzyk.

\*\*\*

koniec darmowego fragmentu  
zapraszamy do zakupu pełnej wersji

MUZA SA  
00-590 Warszawa  
ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6297624, 22 6296524  
e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).